

Testament Nobla i wynalazek wielkości [TPCT 504]

U źródła tego całego zamieszania stoi kameralna scena: Paryż, 27 listopada 1895 roku. Alfred Nobel, człowiek, który wzbogacił się na dynamicie, siada i pisze testament. W tle historia z pewną francuską gazetą, która niegdyś pomyliła braci i wydrukowała za jego życia nekrolog zatytułowany „Kupiec śmierci nie żyje”. Trudno o bardziej brutalny sygnał, że historia zamierza dość ponuro obejść się z jego dorobkiem życia.

Nobel, przerażony wizją, że jego nazwisko zostanie sklezione na zawsze z bronią masowego rażenia, postanawia dopisać do tej historii inne *post scriptum*. Niemal cały majątek przeznaczają na fundusz nagród. Rodzina dostaje zaledwie symboliczny ułamek. Reszta ma służyć temu, by zamiast „kupca śmierci” zapamiętano go jako człowieka, który położył fundament pod najważniejszy system nagradzania nauki, kultury i działań pokojowych. Trzeba mu oddać, że ów gest stał się cokolwiek skuteczny.

Od grubo ponad stulecia ten czuły sejsmograf rejestruje napięcia w sferze idei, nauki i etyki, ba! wyznacza kierunki, w których ludzkość ma się rozwijać, ale zarazem otwiera pole do nieustannych sporów, reinterpretacji i (należy także to nadmienić) spektakularnych nieporozumień. Spójrzmy szczerze: są ludzie, którzy całe życie pielęgnują w sobie głębokie przekonanie, że Nobel im się „po prostu należy”. Są i tacy, którzy mniej lub bardziej otwarcie domagają się go w wywiadach, listach, petycjach, a czasem po prostu w nader pewnym siebie tonie. Jedni i drudzy rzadko bywają szczęśliwi. Raz na jakiś czas giełda nazwisk przynosi im chwilę sławy, stają się gwiazdami jednego sezonu, zanim

Komitet ogłosi werdykt. Inni, których nikt na giełdzie nie typował, zapadają zaś w pamięć na stałe – wbrew werdyktom. Bywa też odwrotnie: ktoś dostaje nagrodę i dopiero po latach odkrywamy, że był to bardziej kaprys epoki.

Warto niemniej zauważyć, że z testamentu wyłania się świat zaskakująco konkretny. Fizyka za „najważniejsze odkrycie lub wynalazek”, chemia za „postęp”, fizjologia lub medycyna za przełom w leczeniu, literatura za „wybitną pracę na rzecz idealistycznych tendencji” i wreszcie pokój – za „braterstwo między narodami, redukcję armii i wspieranie stowarzyszeń pokojowych”. Jest tu coś z dziewiętnastowiecznej wiary, że wojny skończą się w perspektywie kilku dekad, i coś z osobistych fascynacji: literaturą, przyjaźniami z pisarzami, własnymi próbami poetyckimi. Jest też pomysł polityczny: Pokojową Nagrodę ma przyznawać Norwegia, nie Szwecja, bo Norwegowie uchodzą za bardziej pokojowych, bardziej demokratycznych, pierwszych, którzy poparli ruchy pokojowe.

Oczywiście – jak to bywa z testamentami – realizacja woli zmarłego okazała się trudniejsza niż jej spisanie. Po śmierci Nobla w 1896 roku rodzina protestowała, prawnicy debatowali, a wykonawcy woli – Ragnar Sohlman i Rudolf Liljeqvist – musieli nie tylko liczyć procenty, ale niejako wynaleźć instytucję, która udźwignie tę misję. Fundacja Nobla powstała dopiero rok przed pierwszym rozdaniem nagród w 1901 roku. Potem zbudowano rytuał: 10 grudnia, rocznica śmierci fundatora, królewska obecność od 1902 roku, złoty medal, dyplom, nagroda pieniężna. Z czasem do pięciu dziedzin dopisano szóstą – ekonomię – ustanowioną w 1968 roku przez Bank Szwecji. Ekonomia nie mieściła się w horyzoncie Nobla, który żył w świecie, w którym była raczej praktyką kupców niż systematyczną nauką.

A za tym wszystkim stoi dość prozaiczny mechanizm: formularze, rekomendacje, listy. Nominacje może składać około trzech tysięcy osób: profesorowie uniwersyteccy, członkowie rządów, głowy państw, dawni laureaci, członkowie Komitetu Noblowskiego. Termin: do 31 stycznia, następnie zapada długa cisza. Nazwiska nominujących i nominowanych objęte są tajemnicą na pięćdziesiąt lat, z jednym tylko wyjątkiem: zwycięzca jest ogłaszany. Ta cisza, paradoksalnie, nie tonuje emocji. Wręcz przeciwnie – co roku giełdy typów, medialne przecieki i zakulisowe lobbingi tworzą własny spektakl, w którym część nazwisk błyska jasnym światłem jednego sezonu, by potem szybko zgasnąć. Nobel jest więc fabryką nie tylko sławy, ale także zapomnienia, niespełnionych prognoz i nominacji, pogrzebanych nadziei.

Warto oczywiście wspomnieć, że na tym tle polscy laureaci tworzą osobną opowieść o losach naszej wspólnoty politycznej w XX stuleciu, ale za każdym razem z innej perspektywy. Maria Skłodowska-Curie z jej dwoma nagrodami otwiera tę historię jak bohaterska prologowa scena: fizyka i chemia wpisują Polskę w globalny kanon nauki. Henryk Sienkiewicz, nagrodzony w 1905 roku, przypomina światu o sprawie polskiej, w czasie, gdy państwa polskiego nie ma na mapie. Władysław Reymont i jego *Chłopi* wprowadzają na noblowską scenę arcy polską wieś, Miłosz zaś już powojenny dramat XX wieku, Wałęsa – jedną z największych idei *Solidarność*. Zaś Szymborska i Tokarczuk – dwie bardzo różne opowieści o tym, jak można dziś mówić o świecie.

Nie ma jednak Nobla bez kontrowersji. Statut Fundacji mówi jasno: nagrody nie można odebrać laureatowi, od decyzji nie ma odwołania. A mimo to historia zna opowieści o „unieważnieniach” i o tym, jak instytucja dystansowała się od własnych laureatów. Raz po raz wraca przykład nagrody dla Egasa Moniza za lobotomię – dziś trudno nie widzieć w tym

dramatycznego starcia między ówczesnym entuzjazmem wobec terapii, zachwytem nad ideami naukowymi, które doczekały się nieludzkich skutków. Byli też tacy, którzy sami nagrodę odrzucili: Jean-Paul Sartre, bo “żaden człowiek nie powinien być uwieczniony za życia”, Le Duc Tho, ponieważ uważał, że pokój w Wietnamie nie został faktycznie osiągnięty. Byli laureaci więzienni: jak Carl von Ossietzky, Liu Xiaobo czy Aleś Białacki – wszyscy odbierający nagrodę symbolicznie, zza krat. I byli wreszcie kandydaci, których nominacje brzmią dziś jak ponury żart historii: Józef Stalin czy Adolf Hitler, czy to zgłaszani śmiertelnie poważnie, czy ironicznie, do Pokojowej Nagrody. Nobel bywa lustrem, w którym przeglądamy się nie tylko bohaterowie, ale i nasze błędy.

Za każdym nowym nazwiskiem wraca pytanie, czy to właśnie ta praca najlepiej opisuje, dokąd doszliśmy. Od chwili, gdy w 1895 roku szwedzki naukowiec poprawił własny testament, świat przeżył wojny, rewolucje i zmiany ustrojów, lecz niezmiennie pozostało grudniowe objawianie punktów odniesienia. Jedni odbierają nagrodę z poczuciem, że im się należała, inni z wrażeniem ironii losu. Większość prawdopodobnie zostanie przyćmiona przez kolejnych. Bez wątpienia Nobel narzucił nam coroczne ćwiczenie z porządkowania wartości. Zdaje się, że tak powinny wyglądać najlepsze testamenty.

Jan Czerniecki

Redaktor naczelny

Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień” [504]: „Testament Nobla i wynalazek wielkości”

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
